

J. POWALSKI.

.. SZTANDARY .. KSIĘCIA JÓZEFA.

Wszelkie prawa autorskie zastrzeżone.

14

— A konie? — krzyknął Ignacy, przypomniawszy sobie.

— Ciągłe kujemy, i idą. Ale odgrudziły się niektóre, tak że ciężko...

— Czekaj, — rzekł Ignacy, — przecież to mi się żold należy? Kupimy konie...

Chciał zaraz iść. Począł się żegnać z co bliższymi, którzy go zatrzymywali. Wreszcie wydarł się siłą i przez tłum ludzi, przez dym, przedzierał się ku wyjściu. Za sobą słyszał krzyki, wrzawę, i głos jakiś opowiadający obok:

— Bo jak między maroderami znajdziemy naszego, a jest ranny, to go puszczamy wolno. Ale jak zdrow, to mu najpierw wsypiemy kilkanaście stęplów w skórę, a potem damy mu broń jakąkolwiek, by i bez kurka, i wstawimy w szereg. Tem się to dzieje, że ciągle się trzymamy. Z całej armii to przecie Polacy jedni, że broni nie rzucili. Dlatego jak niebezpieczeństwo z przodu, to nas posyłają na przód. A jak znów z tyłu, to cała armia przewali, a my z boku czekamy i dopiero idziemy z tyłu. Potem znów cała armia czeka, a my idziemy naprzód, jak to kiedy Bagration się przysuwał... Tak to my musimy wszystko teraz sami robić, bo inni to nie zniosą takiego życia.

— Tfu! — splunął inny, — miękki naród.

— Takie z południa to nawykło do ciepła, a tu taki mróz. Ale nam czy to nowina? Żeby tak cała armia z naszych tylko była...

— Ho! ho! — z dumą przerwał tamten. — Inaczejby się to wszystko było obróciło.

Ignacy, przedarłszy się z Ptysiem przez tłum, wyszedł z dymnej i gwarnej szopy w mroźną ciemność nocną.

— Prowadź, — rzekł do Ptysia.

— To tu zaraz, — odparł żołnierz, ruszając przodem. — Ale u nas gorzej jak tu.

— Idźno, idź! — powtórzył Ignacy.

XIV.

Stary pan Józef Kleszewski, przeżywszy się do Warszawy, poznał, że po różnorodnych fazach i zwrotach, które przez ciąg swego życia w sobie obserwował, nastąpił zwrot ostatni i końcowa epoka jego osobistej historii.

Niegdyś, w młodości, zauważywszy, że człowiek się zmienia, mniemał radośnie, że kolejne zmiany prowadzą go niezbiecie do czegoś wyższego i potężniejszego niż to, od czego wyszedł. Jednakże po przeżyciu kilku dziesiątków lat doszedł do wniosku, że alegorya o wiosnie i zimie więcej się zbliża do prawdy, i że ustroiwszy człowieka i napiąwszy jak strunę na górny ton, ta sama siła obiera go potem po kolei ze wszystkich ozdób młodości i wieku męskiego, a strunę, na której gra się życie, zluźnia, zniedołężnia, aż do wydawania niezdarne brzęku, zamiast śpiewu, jak ongiś w młodości.

Jeszcze ponętną zagadkę przedstawiała siła myślenia, która zdaje się nie ulegać prawu starzenia. Jednakże czcza, szara i obojętna stała się i ona dla niego, gdy rzuciły na nią swój cień nieprzejrzane zdarzenia, raniące ostatnie konstelacje uczuć. Odwiedził Antosia przed ostatecznym wyjazdem do Warszawy. Zastał ją milczącą, obojętną, obcą. Jej uśmiech, ona sama była mu jakby wspomnieniem dawnej Antosi, takim, jak się je nieraz odnajduje po umarłych u kogoś obcego, podobnego.

Mieszkał w małym dworku na Nowym Świecie. Ruch konfederacki, którym wrzało miasto, wciągnął z wolna uwagę starego obserwatora.

Asystował uniesieniom czerwcowym, rozważał

wieści radosne i szybko dobiegające o pierwszych zwycięstwach.

Potem wieści umilkły, a gdy nadeszła jesień, poczęły w mieście kielkować podejrzenia i złe przecucia, których samo powzięcie wydawało się na razie niedorzecznością. Niewiadomo skąd pelzły też nieoczekiwane poszepty o nadziejach i widokach, z Petersburga. Wiało nieszczęściem, jakimś rozkładem, chwianiem się.

Wtem nadeszły wiadomości dokładniejsze, i przychodziły coraz spieszniej, obficie i coraz pewniejsze: o rozsypce, o głodzie, o mrozie, o nędzy bezprzykładnej, które zwyciężyły niezwyciężonych. Przyszła wiadomość, że wojsko mrąc i padając setkami od mrozu i nędzy ciągnie przez Litwę, z powrotem. Rzucono się przygotowywać mieszkania, kwatery, żywność, na przyjęcie żołnierza.

Pan Kleszewski na progu wszystkich myśli miał pytanie: czy syn Ignacy wróci? Gdyby to było w bitwie: ale wyobrażał go sobie ginącego z mrozu, z głodu, i wił się jak robak w bezsilności. Czując sercem obłąk mękę ginących synów i bezsilnych rodziców, i truchlał, czekając na przyjście, przy-

się, zmuszając się do rozważania prawdopodobieństw. Usiłował się otrząsnąć z ogarniającego go nieruchomego zastygnięcia i zapatrzenia w oblicze klęski. Jak dym ogarniała go zewsząd atmosfera upadku. A czekał i on przecież na rozstrzygnięcie istnienia i nieistnienia, życia i śmierci swego syna.

Wobec tego oczekiwania uciszała się reszta.

Czekał coraz niecierpliwiej, coraz nierówniej. Z każdym dniem, z każdą godziną, z każdą nowiną zasłyszana wzrastał ciężar gniojący go nad siły.

Rano wychodził z domu i zdązał sam nie wiedział dokąd: ku Zjazdowi, ku mostowi Praskiemu, czy do kawiarni, gdzie schodzili się przybywający z wojny. Na popielatym niebie grudniowym wlatywały roje czarnych kawek, które na zimę ścigały do miasta: ich krakanie nieustannie piłowało mu duszę tajemną, złą wróżbą. Biały śnieg okrywający strome dachy, zmarzłe błoto na ulicach, łachmany biedaków miejskich, wszystko sączyło się do jego bolących myśli jakimiś nitkami męki, opłatywało go matnią jakichś złych przecuć, złych losów, złego końca.

— Już się stało, — myślał, — już się rozstrzygnęło, a ja nie wiem, na którą stronę.

I wchodził do kawiarni, głodnymi oczyma wchłaniając wychudłe i nędzne postacie żołnierzy, czy nie pozna w którym kolegi Ignacego, czy nie usłyszy przypadkiem z boku wieści o nim.

Pytał czasami wprost, ale wkrótce zorientował się, że armia wracała w tak strasznym, tak skomplikowanym zamieszaniu, że tylko przypadek mógł przynieść mu jakąś wiadomość. Pytał więc o artylerję: na to unosili się wszyscy nad jej niezłomnością, nad energią, nad wyjątkowością. Z całej armii nieprzeliczonej, ze wszystkich korpusów francuskich, włoskich, niemieckich, jedna tylko polska artylerja nie porzuciła swych dział, z nadludzkim wysiłkiem prowadziła je przez błota, śniegi, topiele i góry, ciągnąc w równej mierze ludźmi jak i końmi.

Słuchał, koło go to, zadowolenie sprawiało ze względu na to, że okazał się hart narodowy w tem powszechnym rozprężeniu. Ale nie dawało najmniejszej otuchy. Tyle, że artylerja później nadejdzie, że później przyjdzie pewność co do losu syna.

A może wzięto go do niewoli? Może ranny, został gdzieś po drodze w jakimś mieście.

Siedział w kawiarniach, albo chodził z kimś znajomym do mostu na Zjeździe i tak czas zwolna ustępował. A gdy się ściemniło na dobre i w kawiarniach pozapalano światła, wracał z ciężkim sercem do domu. Tu go witały te same chłodne stancje, te same ściany, które go widziały wychodzącym rano. Nikogo nie miał przy sobie, prócz chłopca do posługi. Zona z najmłodszą córką bawiła na razie w Kraśniku, synowie obaj byli w szkołach. Wracał tedy do swej samotności, w której wszystkie martwe przedmioty, meble i ściany zdawały się gadać i powtarzać to, co on tu w kółko od tylu tygodni i tylu ranków i wieczorów przemyślał w kieracie tych samych ciągle pytań, możliwości i trwóg.

I wtedy, jak ośmielone tym kołowrotem złego, wstawały wszystkie, uśpione, zapomniane, dawne i nowe rany, jak czarne korzenie, nawskróś przetrastające warstwy dziejów życia. Wyrastały przed nim wrzeszczące wyrzuty, ogniste i wyraźne jak dzień: że on to zaprzepaścił majątek, w jego rękach zwolna zatoneło wszystko w długach, a gdy Antosia zrobiła tę dziecinną i najgorszą ofiarę, on w swem cierpieniu zamknął się jak ślimak przed wyciągnięciem myśli i postanowień: i niepojęcie przyjął jej poświęcenie. Tak, przyjął, skoro nie sprzedał Strzelców, tylko wydzierżawił, skoro nie wypłacił co do grosza weksli, wykupionych przez Marcina Kraśnickiego. Jak dalsze horyzonty usprawiedliwień majaczyły gdzieś pozatem obowiązki względem reszty dzieci, którym zostaną Strzelce.

— Wobec Tadeusza przynajmniej, — mniemał z gorzkim uśmiechem, — nie mam już żadnych obowiązków, ani przewinień, gdy zginął. Leży gdzieś w Hiszpanii, daleko, nawet grobu jego nie zobaczę nigdy.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Rano wychodził z domu i zdązał sam nie wiedział dokąd.

wleczenie się tego wojska nieszczęśliwych do Warszawy.

Jak na krawędzi czarnej przepaści stawał nad słowami: gdybym go nie był puścił...

Brał się za głowę bezradnie. Tumanem porwały się myśli o rozpoczętej tak niedawno odbudowie ojczyzny, i o tem co się z nią teraz stanie. Każda nić nadziei była z tem związana, a teraz zbliża się jakiś straszny obrót rzeczy, który wszystko zwali.

Zaczął się, jak przelot sępów, przejazd zwyciężonych przez miasto.

Dowiedziano się pewnego rana, że poprzedniego wieczoru przejechał Napoleon. W parę dni potem przybył chory książę Józef. I teraz już co dnia napływały bezbronne i obdarte resztki wojska i plełły się wieści okropne i trujące jak zaraza.

Po kwaterach, po kawiarniach, po traktyerniach, ocaleni wojacy opowiadali bez wytchnienia. I słuchacze, przejęci, roznosili na wszystkie piętra wszystkich domów straszne ich losy i przejścia.

Pan Kleszewski metodą wypróbowaną długiem użyciem usiłował ratować się od wciągnięcia w ten wir przerażenia, zamieszania i rozpacz. Trzeźwił